

ŚWIATOWY BESTSELLER

SHANTARAM

GREGORY DAVID ROBERTS



Shantaram to czytelniczy Święty Graal.

MARCIN MELLER



SHANTARAM



GREGORY DAVID ROBERTS

PRZEŁOŻYŁA MACIEJKA MAZAN

WYDAWNICTWO MARGINESY

Dla mojej matki

Shantaram

COPYRIGHT © 2003 BY Gregory David Roberts
ALL RIGHTS RESERVED

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Maciejka Mazan
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2016

Dużo czasu minęło i wiele się na świecie zmieniło, zanim nauczyłem się tego, co wiem o miłości, przeznaczeniu i ludzkich decyzjach, ale w gruncie rzeczy wszystko to dotarło do mnie w jednej chwili, kiedy zostałem przykuty do muru i zaczęły się tortury. Jakimś sposobem zdałem sobie sprawę – poprzez krzyk w mojej głowie – że choć jestem spętany, bezradny i krwawię, pozostałem wolny; mogłem znienawidzić ludzi, którzy mnie torturowali, albo im wybaczyć. Wiem, nie brzmi to dobrze. Jednak w szarpnięciach i kłasnaniu łańcucha, kiedy tylko tyle ci zostało, ta wolność stanowi wszechświat możliwości. A wybór pomiędzy nienawiścią i wybaczeniem może stać się historią twojego życia.

Moja historia jest długa i pełna różnych zwrotów. Byłem rewolucjonistą, który zgubił ideały w heroinie, filozofem, który utracił moralność w zbrodni, i poetą, którego dusza przepadła w więzieniu o zaostrożnym rygorze. Kiedy uciekłem z tego więzienia przez frontowy mur, pomiędzy dwiema wieżyczkami wartowników, stałem się w moim kraju najbardziej poszukiwanym człowiekiem. Szczęście uciekło razem ze mną i wspólnie pofrunęliśmy przez cały kraj aż do Indii, gdzie dołączyłem do bombajskiej mafii. Szmuglowałem broń i inne towary, byłem fałszerzem. Na trzech kontynentach trzymano mnie w kajdanach, bito, dżgano i głodzono. Poszedłem na wojnę. Zdobywałem działa wroga. I przeżyłem, a ludzie wokół mnie zginęli. Byli lepsi ode mnie, prawie wszyscy; lepsi ode mnie ludzie tracili życie przez jeden błąd, jedną fatalną sekundę czyjejs nienawiści, miłości albo obojętności. A ja ich grzebałem, zbyt wielu, opłakiwałem ich życie i historię.

Ale moja opowieść nie zaczyna się wśród nich ani w mafii; sięga do tego pierwszego dnia w Bombaju. To tam los włączył mnie do gry. Szczęście dało mi karty, które doprowadziły mnie do Karli Saaranen. I zacząłem grać tymi kartami od pierwszego spojrzenia w jej zielone oczy. Tak więc ta historia zaczyna się jak wszystkie inne – od kobiety, miasta i odrobiny szczęścia.

Tamtego pierwszego dnia w Bombaju od razu zwróciłem uwagę na inny zapach powietrza. Poznałem ten zapach, zanim jeszcze zobaczyłem i usłyszałem Indie, idąc pępowiną korytarza łączącego samolot z lotniskiem. Podekscytował mnie i zachwyił w tej pierwszej bombajskiej minucie, mnie, wyzwolonego z więzienia nowego przybysza w szerokim świecie, lecz wtedy go nie

znałem i nie mogłem znać. Teraz wiem, że to słodka, gorąca woń nadziei, która jest przeciwieństwem nienawiści; i kwaśny, przytłumiony zapach chciwości, która jest przeciwieństwem miłości. To zapach bogów, demonów, imperiów i cywilizacji zmartwychwstających i upadających. To namacalny zapach błękitnego morza, bez względu na to, w którym miejscu miasta się znajdujesz, i metaliczny jak krew zapach maszyn. Zapach ruchu, snu i odchodów sześćdziesięciu milionów zwierząt, z których ponad połowę stanowią ludzie i szczury. Zapach złamanych serc i trudu życia, wielkich upadków i miłości, z których rodzi się odwaga. Zapach dziesięciu tysięcy restauracji, pięciu tysięcy świątyń, kościołów i meczetów, i setek bazarów, na których sprzedaje się wyłącznie perfumy, przyprawy, kadzidła oraz świeże kwiaty. Karla powiedziała kiedyś, że to najbrzydszy ładny zapach świata i oczywiście miała rację, w tym sensie, w jakim zawsze ją miała. Ale za każdym powrotem do Bombaju jest to moje pierwsze doznanie w tym mieście – ten zapach przebijający się ponad wszystko – które wita mnie i mówi, że wróciłem do domu.

Drugim doznaniem był skwar. Stałem w kolejkach na lotnisku, o pięć minut drogi od klimatyzowanego wnętrza samolotu, a ubranie błyskawicznie przesiąkło mi potem. Serce łomotało w odpowiedzi na nowy klimat. Każdy oddech był małym i bolesnym zwycięstwem. Przekonałem się, że to się nigdy nie kończy, ten pot, bo upał, który go wywołuje, jest wilgotny. Dławiąca wilgoć zmienia nas wszystkich w Bombaju w płazy oddychające wodą zawartą w powietrzu; człowiek uczy się z tym żyć – i to żyć z zadowoleniem – albo wyjeżdża.

Byli jeszcze ludzie. Z Asamu, Jaru i Pendżabu; ludzie z Radżasthanu, Bengal i Tamilnadu; z Puszkaru, Koczinu i Konaraku; z kasty wojowników, braminów i niedotykalnych; hinduiści, muzułmanie, chrześcijanie, buddyści, parsowie, dżiniści, animiści; o skórze jasnej i ciemnej, o oczach zielonych, miodowych i czarnych; o wszelkich możliwych rysach twarzy i sylwetkach – ta nieporównywalna piękność, Indie.

Wszystkie te miliony Bombaju – i jeszcze więcej. Dwaj najlepsi przyjaciele przemytnika to muł i wielbłąd. Muły przenoszą kontrabandę przez kontrolę celną. Wielbłądy to nieświadomi turyści, którzy pomagają przemytnikowi przejść przez granicę. Dla kamuflażu, używając fałszywych paszportów i dokumentów, przemytnicy dobierają sobie towarzyszy podróży – wielbłądy – którzy nieświadomie przeprowadzają ich bezpiecznie, bez wzbudzania podejrzeń przez punkty kontroli na lotnisku lub granicy.

Wtedy tego nie wiedziałem. Sztuki przemytu nauczyłem się dużo później, wiele lat później. Podczas tej pierwszej podróży do Indii działałem instynktownie, a jedynym szmuglowanym towarem byłem ja, moja krucha i zraniona wolność. Miałem fałszywy paszport z Nowej Zelandii, z nowym zdjęciem na

miejscu starego. Sam go zrobiłem i nie było to dzieło sztuki. Byłem pewien, że zda egzamin podczas rutynowej kontroli, ale gdybym wzbudził podejrzenia i ktoś sprawdziłby mnie w nowozelandzkiej ambasadzie, podstęp szybko by się wydał. Podczas podróży z Auckland do Indii przeszedłem cały samolot w poszukiwaniu właściwej grupy Nowozelandczyków. Znalazłem paru studentów, którzy jechali na subkontynent po raz drugi. Poprosiłem, żeby podzielili się ze mną doświadczeniem i radami, i nawiązaliśmy znajomość, dzięki której w punkcie kontroli na lotnisku zjawiliśmy się razem. Indyjscy urzędnicy uznali, że podróżuję razem z tą beztroską i dobroduszną grupą, więc sprawdzili mnie tylko pobieżnie.

Ukąszenia słońca na dworze odebrałem już sam, pijany wolnością: kolejny przeskoczony mur, kolejna przekroczona granica, kolejny dzień i noc tułaczki i ukrywania się. Uciekłem z więzienia niespełna dwa lata temu, ale życie zbiega polega na ciągłej ucieczce, co dzień, co noc. I choć nie jest to zupełna wolność, nigdy nią nie będzie, nowość pachnie nadzieją i trwożnym uniesieniem: nowy paszport, nowy kraj, nowe zmarszczki strachu na mojej młodej twarzy, pod szarymi oczami. Stałem na pełnej ludzi ulicy, pod wypaloną niebieską miską bombajskiego nieba, a moje serce było czyste i głodne obietnic jak monsunowy poranek w ogrodach Malabaru.

– Proszę pana! Proszę pana! – zawołał ktoś za moimi plecami.

Ręka chwyciła moje ramię. Zatrzymałem się. Napiąłem w panice mięśnie, zdusiłem strach. Nie uciekaj. Nie panikuj. Odwróciłem się.

Przedemną stał niski człowieczek w brudnym brązowym mundurze. Trzymał moją gitarę. Niski to mało powiedziane, był maleńki, był karłem z wielką głową i odcisniętą w rysach zdumioną niewinnością zespołu Downa. Włożył mi gitarę w rękę.

– To pańska muzyka. To pan zgubił muzykę, prawda?

To faktycznie była moja gitara. Natychmiast uświadomiłem sobie, że zapomniałem ją zabrać spomiędzy bagażu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób ten człowieczek odgadł, że to moja własność. Kiedy uśmiechnąłem się z ulgą i zaskoczeniem, człowieczek rozpromienił się z tą idealną szczerością, której się boimy i którą nazywamy prostotą. Podał mi gitarę, a wtedy zauważyłem, że ma błonę między palcami, jak ptak błotny. Wysupłałem z kieszeni parę banknotów i podałem mu, ale cofnął się niezdarne na krótkich nóżkach.

– Pieniądze nie. My tu pomagamy. Witamy w Indiach – powiedział i uciekł w gąszcz ludzkich ciał.

Kupiłem bilet do miasta w autokarowej sieci Veteran's Bus Service, w której pracują byli żołnierze armii indyjskiej. Mój plecak i torbę podróżną wciągnięto na dach i wrzucono na stertę bagażu z precyzyjną i nonszalancką brutalnością; widziałem to i postanowiłem nie rozstawać się z gitarą. Usiadłem z tyłu autobusu; dołączyło do mnie dwóch długowłosych podróżnych. Auto-

bus szybko wypełnił się Hindusami i obcokrajowcami, przeważnie młodymi i oszczędzającymi na kosztach podróży.

Kiedy mieliśmy już prawie komplet, kierowca odwrócił się, zmierzył nas złowrogim spojrzeniem, splunął przez otwarte drzwi strugą jaskrawej czerwieni betelu i ogłosił zbliżający się odjazd.

– *Thik hain, challo!*

Silnik ryknął, biegi zgrzytnęły i pomknęliśmy z niepokojącą szybkością wśród tłumów tragarzy i pieszych, którzy uskakiwali przed autobusem w ostatniej chwili. Nasz konduktor, siedzący na ostatnim schodku, obrzucał ich z nienawiścią wyszukаныmi obelgami.

Podróż z lotniska do miasta rozpoczęliśmy od szerokiej, nowoczesnej drogi obsadzonej z obu stron krzakami i drzewami. Zupełnie jak w schludnym otoczeniu międzynarodowego lotniska w moim rodzinnym Melbourne. To podobieństwo uspiło moją czujność i wprowadziło w ufny trans, z którego wyrwano mnie tak brutalnie przy pierwszym zwężeniu drogi, jakby kontrast był zamierzony. Pierwszy widok slumsów w miejscu, gdzie liczne pasma autostrady zrosły się w jedno, a drzewa znikły, chwycił moje serce w szpony wstydu.

Akry slumsów ciągnęły się jak brązowe i czarne wydmy wzdłuż drogi i dotykały nieba brudnymi mirażami w rozgrzanym powietrzu. Żalosse schronienia sklecone ze szmat, skrawków plastiku i papieru, trzcinyowych mat i bambusa tuliły się, połączone ze sobą, a między nimi wiły się wąskie ścieżki. Nic w tej gigantycznej płataninie nie było wyższe od człowieka.

Wydawało się niemożliwe, że nowoczesne lotnisko, pełne zamożnych i zabieganych podróżnych, znajduje się zaledwie parę kilometrów od tych złamanych, spopielonych marzeń. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że tu się wydarzyła jakaś katastrofa, a slumsy to obóz dla ocalałych. Parę miesięcy później dowiedziałem się, że to rzeczywiście ocaleni, ci ludzie ze slumsów; katastrofy, które ich tu rzuciły, to bieda, głód i rozlew krwi. A do miasta co tydzień przybywa pięć tysięcy nowych przybyszów, tydzień za tygodniem, rok za rokiem.

W miarę jak pokonywaliśmy kolejne kilometry, a setki mieszkańców slumsów zmieniały się w tysiące i dziesiątki tysięcy, sumienie zaczęło mi doskwierać. Czułem się zbrukany własnym zdrowiem i pieniędzmi w kieszeni. Te wyrzuty sumienia, jeśli się je w ogóle ma, towarzyszące pierwszej konfrontacji ze skrzywdzonymi tego świata, są okropne. Okradałem banki i handlowałem narkotykami, strażnicy więzienni bili mnie, aż trzaskały kości, otrzymywałem ciosy i sam je zadawałem. Uciekłem od trudnego więziennego życia z trudnymi ludźmi, w trudny sposób – przez frontowy mur. A jednak to pierwsze spotkanie z biedą i rozpaczą slumsów, z tym bólem sięgającym kresu, raniło mi oczy. Przez jakiś czas przyjmowałem cios za ciosem.

Potem z iskier wstydu i wyrzutów sumienia wybuchł pożar gniewu, dławiącej wściekłości na tę niesprawiedliwość: co za rząd, myślałem, co za system pozwala na takie cierpienie?

Ale slumsy ciągnęły się kilometrami, a chwilową ulgę przynosił tylko widok prosperujących sklepów i kruszących się, omszałych domów ludzi stosunkowo zamożnych. Slumsy ciągnęły się nieprzerwanie, a ich jawna wszechobecność stępiła moją wrażliwość przybysza. Ogarnęło mnie coś w rodzaju zdumienia. Przestałem zwracać uwagę na ich ogrom, a zacząłem dostrzegać ludzi, którzy tam mieszkali. Kobieta pochyliła się, by wyszczotkować czarne jedwabiste włosy. Inna kąpała dziecko, polewając je wodą z miedzianego talerza. Mężczyzna prowadził trzy kozy z czerwonymi wstążeczkami związanymi na obrozach. Inny golił się przed pękniętym lustrem. Wszędzie bawiły się dzieci. Mężczyźni nosili wodę w wiadrach. Naprawiali chaty. I jak okiem sięgnąć, ludzie uśmiechali się i śmiali.

Autobus zatrzymał się w korku, a z chaty od strony mojego okna wyszedł mężczyzna. Był cudzoziemcem, miał skórę równie jasną, jak każdy z nowych przybyszów w autobusie, a jego jedynym ubraniem był zamotany kawał bawełny w hibiskusowy wzór. Przeciągnął się, ziewnął i podrapał bez skrępowania po gołym brzuchu. Jego twarz i sylwetka tchnęły ostentacyjnym i krowim spokojem. Przyłapałem się na tym, że mu go zazdroszczę, a także powitalnych uśmiechów grupy, która minęła go, idąc w stronę szosy.

Autobus znowu ruszył z szarpnięciem i straciłem mężczyznę z oczu. Jednak jego widok zmienił moje poglądy na slumsy. Widok człowieka tak obcego w tym miejscu jak ja ukazał mi obraz tego świata. To, co wydawało mi się niewyobrażalnie dziwne i dalekie, nagle stało się możliwe, zrozumiałe i w końcu – fascynujące.

Wtedy spojrzałem na ludzi i dostrzegłem, jacy są zapracowani – ile trudu i energii wkładają w swoje życie. Wnętrza chat, które odsłaniały się przede mną przelotnie, były pomimo swej nędzy zdumiewająco czyste: podłogi bez jednej plamki i lśniące metalowe garnki ustawione w schludne piramidy. I wreszcie coś, co powinno mi się rzucić w oczy na samym początku – ich uroda. Kobiety w szkarłacie, błękicie i złocie; kobiety idące boso przez nędzę i chaos slumsów, z cierpliwą, ulotną gracją; białozęba, migdałowooka uroda mężczyzn; i czuła serdeczność dzieci o smukłych kończynach: starsze bawiły się z młodszymi, wiele nosiło małych braciszków i siostrzyczki na smukłych biodrach. I tak po półgodzinnej jeździe uśmiechnąłem się po raz pierwszy.

– Ale to ładne – odezwał się młody mężczyzna za moimi plecami, przyglądając się scenie za oknem. Kanadyjczyk, co obwieszczał znaczek z liściem klonu na kurtce; wysoki, tęgi, z jasnymi oczami i ciemnymi włosami do ramion. Jego towarzysz wyglądał jak jego niższa, bardziej zwarta wersja; byli ubrani w identyczne wytarte dżinsy, sandały i cienkie perkalowe kurtki.

- Słucham?
- Pierwszy raz? - spytał w odpowiedzi. Skinąłem głową. - Tak myślałem. Nie przejmuj się, od tej pory będzie trochę lepiej. Mniej slumsów i w ogóle. Ale w Bombaju nigdzie nie jest całkiem dobrze. To najbardziej niechlujne miasto w Indiach, możesz mi wierzyć.
- Święte słowa - zgodził się niższy mężczyzna.
- Ale zaraz złączą się ładne świątynie i duże brytyjskie budynki, całym w porządku; kamienne lwy, mosiężne latarnie i tak dalej. Ale to nie są Indie. Prawdziwe Indie są wyżej, bliżej Himalajów, w Manali albo w świętym mieście Waranasi, albo na wybrzeżu Kerali. Żeby znaleźć prawdziwe Indie, musisz się wydostać z miasta.
- A wy dokąd jedziecie?
- Zamieszkamy w aśramie - oznajmił jego kolega. - W Punie. Prowadzona przez radźniszów. Najlepsza w kraju.
Dwie pary czystych bładoniebieskich oczu przyglądały mi się z oceniającą, niemal oskarżycielską wyższością tych, którzy wierzą, że znaleźli jedyną słuszną drogę.
- Wynajmujesz?
- Słucham?
- Wynajmiesz pokój czy tylko przejedziesz przez Bombaj?
- Nie wiem - odparłem i znowu odwróciłem się do okna. Tak było; nie wiedziałem, czy chcę zatrzymać się na jakiś czas w Bombaju, czy jechać dalej do... dokądkolwiek. Nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć. W tamtej chwili byłem, jak to nazywa Karla, najbardziej niebezpiecznym i fascynującym zwierzęciem świata: odważnym, twardym mężczyzną bez żadnych planów. - Nic nie zaplanowałem. Ale chyba zatrzymam się na jakiś czas w Bombaju.
- My tam przenocujemy, a rano złapiemy pociąg. Jeśli chcesz, możemy zamieszkać razem. We trzech dużo taniej wyjdzie.
Sporzrzałem w te szczerze niebieskie oczy. Może lepiej będzie na początek zamieszkać z kimś, pomyślałem. Ich autentyczne dokumenty i uśmiechy zatuszują jakoś mój fałszywy paszport. Może tak będzie bezpieczniej.
- I jest dużo bezpieczniej - dodał Kanadyjczyk.
- No właśnie - powiedział jego kolega.
- Bezpieczniej? - podchwyciłem z nonszalancją, której nie czułem.
Autobus zwolnił, jechał w wąwozach trzy- i czteropiętrowych budynków. Ruch uliczny kipiał z zadziwiająco i tajemniczą skutecznością - taniec autobusów, ciężarówek, rowerów, samochodów, wozów ciągniętych przez woły, skuterów i ludzi. Przez otwarte okna naszego sfatygowanego autobusu buchał aromat przypraw, perfum, spalin i nawozu - duszna, lecz nie przykra mieszanka, a przez fale nieznanej muzyki przebijały się głosy. Na każdym rogu

widniały gigantyczne plakaty reklamujące indyjskie filmy. Ich nienaturalne kolory buzowały za opaloną twarzą wysokiego Kanadyjczyka.

- No pewnie, że bezpieczniej. Człowieku, to jest Gotham City. Uliczne dzieciaki znają więcej sposobów na wyciągnięcie ci kasy z kieszeni niż kasyno.

- Jak to w mieście, stary - wyjaśnił niski. - Wszystkie miasta są takie same. Nie tylko te. Tak samo jest w Nowym Jorku, Rio czy Paryżu. Wszystkie są plugawe i szalone. Jak to w mieście, jarzysz? Odwiedź inne części Indii, to się zakochasz. To wielki kraj, ale miasta są naprawdę popieprzone, muszę przyznać.

- I te cholerne hotele - dodał wysoki. - Mogą cię okraść, jak będziesz spokojnie siedział w pokoju i palił trawkę. Mają układy z policją, biorą cię do pierdla i zabierają wszystkie pieniądze. Najbezpieczniej trzymać się razem i podróżować z innymi, uwierz mi.

- I uciekaj z miasta jak najszybciej - dodał niski. - Ja nie mogę! Widziałeś? Autobus skręcił w szeroki bulwar ogrodzony ogromnymi głazami, który prowadził w stronę turkusowego morza. Na tych kamieniach przysiadła mała kolonia czarnych, rosochatych chat, jak wrak jakiegoś ciemnego i prymitywnego statku, wyrzucony na brzeg morza. Te chaty się paliły.

- Jasna cholera! Patrz! Stary, ten facet się smaży! - Wysoki Kanadyjczyk wskazał człowieka biegnącego do morza. Jego ubranie i włosy stały w ogniu. Pośliznął się, wpadł ciężko między głazy. Kobieta z dzieckiem dogonili go i zdławili płomienie rękami i własnymi ubraniami. Inni usiłowali ugasić chaty albo tylko stali i patrzyli na pożar swoich symbolicznych schronień. - Widziałeś? Już po nim, mówię ci.

- A jak! - zgodził się niski.

Kierowca zwolnił, tak jak inni, żeby popatrzeć na pożar, ale zaraz przyspieszył. Żaden pojazd na zatłoczonej drodze się nie zatrzymał. Odwróciłem się i wyglądałem przez tylną szybę, aż zwęglone pniaki chat zmieniły się w płatki sadzy, a brązowy dym pożaru był już tylko cieniem zniszczenia.

Na końcu tego długiego nadmorskiego bulwaru skręciliśmy w lewo w szeroką ulicę z nowoczesnymi zabudowaniami. Były to wielkie hotele z odzwiercieniami w liberjach, którzy stali pod kolorowymi markizami. W pobliżu znajdowały się ekskluzywne restauracje w girlandach ogrodów. Słońce migotało w polerowanym szkle i mosiądzu fasad biur linii lotniczych i innych instytucji. Liczne stragany chroniły się pod wielkimi parasolami przed porannym słońcem. Hindusi, którzy tędy przechodzili, byli w twardych półbutach i zachodnich garniturach, kobiety nosiły drogie jedwabie. Wyglądali poważnie i godnie, kiedy tak pędzili z marsowymi minami od jednego wielkiego biurowca do drugiego.

Wszędzie wokół widać było kontrast między zwyczajnym i nadzwyczajnym. Wozy zaprzęgnięte w woły stały na światłach obok nowoczesnych

sportowych samochodów. Jakiś człowiek przykucnął, by sobie ulżyć za dyskretną osłoną talerza satelitarnego. Elektryczny wózek widłowy służył do wyładowywania towarów ze starego wozu o drewnianych kołach. Miało się wrażenie, że człapiąca, niezmordowana i daleka przeszłość wpadła, nienaruszona, przez barierę czasu we własną przyszłość. To mi się podobało.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił mój towarzysz. - Centrum znajduje się parę przecznic dalej. Może nie jest to dokładnie to, co uważamy za centrum. To tylko turystyczna dzielnica, gdzie znajduje się większość tanich hoteli. Ostatni przystanek. Nazywa się Kolaba.

Wyjęli z kieszeni paszporty i czeki podróżne, po czym wepchnęli je za pazuchę. Ten niższy zdjął zegarek i także umieścił wraz z pieniędzmi, paszportem i innymi cennymi rzeczami w slipkach. Podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się.

- No co. Przezorny zawsze ubezpieczony!

Wstałem i przepchnąłem się na przód. Kiedy samochód się zatrzymał, byłem pierwszy przy wyjściu, ale tłum na chodniku nie pozwolił mi wysiąść. Naganiacze - pracujący na ulicy dla hotelarzy, handlarzy narkotyków i innych miejskich biznesmenów - łamaną angielszczyzną zachwalali tanie pokoje i inne okazje. Pierwszy do drzwi dopadł niewielki człowieczek z dużą, niemal idealnie okrągłą głową. Był ubrany w dżinsową koszulę i spodnie z niebieskiej bawełny. Uciszył swoich towarzyszy i zwrócił się do mnie z najszerszym i najbardziej promiennym uśmiechem świata.

- Powitajcie, wielkie panowie! - zakrzyknął. - Powitajcie w Bombaju! Wam trzeba tanio i wspaniale w hotelu, tak?

Spojrzał mi prosto w oczy, z tym niegasnącym szerokim uśmiechem. W tej tarczy jego uśmiechu było coś - jakby łobuzerska brawura, bardziej szczerza i pełna przejęcia niż zwykłe szczęście - co przeszło mi serce. To była kwestia sekundy, ten kontakt wzrokowy między nami. Na tyle długi, że postanowiłem mu zaufać - temu małemu człowieczkowi o wspaniałym uśmiechu. Wtedy tego nie wiedziałem, ale była to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu.

Tłum wysiadających pasażerów zaczął się zmagać z rojem naganiaczy i opędzać przed nimi. Dwaj młodzi Kanadyjczycy szli przez ten tłum nienapaśtowani, uśmiechając się szeroko do zabieganych naganiaczy i poirytowanych turystów. Patrząc, jak sobie torują drogę, po raz pierwszy zauważyłem, jacy są sprawni, zdrowi i przystojni. W tym momencie postanowiłem przystać na ich propozycję wspólnego wynajęcia pokoju. W ich towarzystwie zbrodnia mojej ucieczki z więzienia, zbrodnia mojej obecności na świecie, stawała się niewidoczna i niepojęta.

Mały przewodnik chwycił mnie za rękaw i odciągnął od rozpraszającej się grupy ku tyłowi autobusu. Konduktor wspiął się na dach z małpią zręcznością

i zrzucił mi w ramiona plecak i torbę. Inne bagaże zaczęły uderzać o chodnik przy złowieszczym akompaniamencie grzechotów i trzasków. Pasażerowie rzucili się, by złapać swój dobytek, a przewodnik znowu odprowadził mnie w spokojniejsze miejsce, parę metrów od autobusu.

- Nazywam się Prabaker - oznajmił angielszczyzną o melodyjnym akcencie. - A jakie twoje miano?

- Moje miano Lindsay - skłamałem. Takie nazwisko znajdowało się w moim sfalszowanym paszporcie.

- Jestem Bombaj-przewodnik. Bardzo wspaniała pierwsza klasa Bombaj-przewodnik, tak. Cały Bombaj znam, bardzo dobrze. Chcesz podziwiać wszystko? Ja dokładnie wiem, gdzie można podziwiać prawie całe wszystko. Mogę ci pokazać nawet więcej niż wszystko.

Dwaj młodzi podróżnicy, ścigani przez natarczywą grupę obdartych naganiaczy i przewodników, przystanęli przy nas. Prabaker krzyknął na swoich niesfornych kolegów, którzy cofnęli się o parę kroków, pożerając głodnym wzrokiem naszą kolekcję toreb i plecaków.

- Na razie chcę podziwiać tylko czysty, tani pokój hotelowy.

- Oczywiście! - Prabaker rozpromienił się. - Ja ci pokażę! Tani hotel, bardzo tani hotel, za bardzo tani hotel, a nawet taki tani hotel, że żaden normalny by tam nie mieszkał.

- Dobrze, Prabaker, prowadź. Zobaczymy.

- E, czekaj - wtrącił wyższy Kanadyjczyk. - Ty chcesz mu zapłacić? Przecież znam drogę. Bez urazy, bracie, na pewno dobry z ciebie przewodnik i tak dalej, ale cię nie potrzebujemy.

Spojrzałem na Prabakera. Jego wielkie, ciemnobrązowe oczy przyglądały mi się z jawnym rozbawieniem. Nie znam człowieka, który miałby w sobie mniej agresji niż Prabaker Kharre; był niezdolny do podniesienia w gniewie głosu czy ręki; i wyczułem to już wtedy, w tych pierwszych spędzonych z nim minutach.

- Czy ja cię potrzebuję, Prabaker? - spytałem z kpiącą powagą.

- O tak! - zawołał. - Jesteś tak bardzo mnie potrzebujący, że prawie płacę nad twoją sytuacją! Bóg jeden wie, jakie straszliwości by cię spotykały, jakby moja dobra osobistość nie prowadziła twojej osobistości po Bombaju!

- Zapłacę mu - powiedziałem moim towarzyszom. Wzruszyli ramionami i dźwignęli plecaki. - Dobrze, Prabaker, idziemy.

Sięgnąłem po plecak, ale Prabaker był pierwszy.

- Jestem niosący twój bagaż - powiedział uprzejmie.

- Nie, w porządku, poradzę sobie.

Szeroki uśmiech zmienił się w błagalny grymas.

- Proszę, to mój obowiązek, to moja powinność. Plecy moje są mocarne. Nie problem. Zobaczysz.

Shantaram to osiemset stron czytelniczego raj. To nagroda za setki i tysiące przeczytanych rzeczy średnich. To osiemset stron zasysającej i hipnotyzującej lektury, w trakcie której jedyne, co nam przeszkadza, to świadomość, że musi się skończyć.

To zdumiewająca historia młodego Australijczyka, który porzucony przez żonę znalazł pocieszenie w heroinie. Zaczął napadać na banki (ubrany zawsze w garnitur okradał tylko ubezpieczone firmy, przez co media zwały go rabusiem-dżentelmenem). Schwytany, został skazany na dwadzieścia lat. W biały dzień uciekł z więzienia i przedostał się do Indii. Ukrywał się w slumsach, gdzie leczył biedaków, był żołnierzem bombajskiej mafii, walczył z Armią Czerwoną w Afganistanie. Jakby tego było mało, jest jeszcze Karla – femme fatale, jakich mało w literaturze – i zagadka w tle.

Shantaram to przypadek ciężkiego uzależnienia: jeżeli przeczytasz kilka pierwszych stron, jesteś stracony dla bliskich i pracy na nadchodzący czas. Nigdy w życiu nie kupiłem tak wielu egzemplarzy książki na prezenty dla przyjaciół. Wszyscy są wdzięczni.

MARCIN MELLER

Shantaram znaczy „boży pokój”. To imię nadali bohaterowi jego hinduscy przyjaciele, zamykając w nim całą historię opowiedzianą w tej książce – historię odnalezienia prawdy o sobie w Indiach.

Ale droga do „bożego pokoju” wiodła przez tak dramatyczne wydarzenia, że chwilami aż trudno uwierzyć, iż wydarzyły się naprawdę. Ciemne interesy, handel narkotykami, fałszerstwa, przemyt, handel bronią, gangsterskie porachunki, a zarazem romantyczna miłość, głębokie przyjaźnie, poszukiwanie mentora, poznawanie filozofii Wschodu.

To właśnie *Shantaram*.



GREGORY DAVID ROBERTS

Urodzony w 1952 roku w Melbourne (jako Gregory John Peter Smith), w 1978 został skazany na dwadzieścia lat za napady z bronią w rękę. Dwa lata później brawurowo uciekł z więzienia o zastrzonym rygorze w Pentridge Prison. Przez blisko dziesięć lat ukrywał się w Bombaju. W 1990 roku został aresztowany we Frankfurcie za przemyt heroiny i deportowany do Australii, gdzie skazano go na sześć lat. Po kolejnej ucieczce zgłosił się dobrowolnie do więzienia, by „odsiedzieć swoje i wrócić do rodziny”. To podczas odbywania kary zaczął pisać *Shantaram*.


W najbliższym czasie nakładem wydawnictwa Marginesy ukaże się kolejna książka Roberta *Cień góry*.

www.marginesy.com.pl

cena 59,90 zł



PATRONAT MEDIALNY

 lubimyczytac.pl

BOOKLIPS.PL IIIII

ROOM

WP